

ALFRED ARDEN.

Zemsta bogini Kali.

Prawo przedruku i przekładu zastrzeżone.

1

ROZDZIAŁ I.

Tajemnica bezgłośnego strzału.

Zwarła się już w sprężystych podskokach kurtyna. Już ucichły ostatnie akordy orkiestry, już dyrygent schodził z swej estrady, a sala jakby zamarła w mistycznej niemal ekstazie, w milczącym i głębokim skupieniu. A potem nagle grom wzruszonych, zapamiętałych oklasków przełamał podniosłość ciszy i z głuchym łomotem potoczył się krótkimi, silnymi falami ku scenie. Nawet wytworna publiczność z łóż i pierwszych rzędów krzesła przełamała lody konwenansu i dała się ponieść wzruszeniu. Wydekoltowane panie, wysmockingowani panowie, uniósłszy się z miejsc, bili z entuzjazmem brawa. „Goldoni!... Goldoni!... — ryczały głosy z galerji..

Zaiste, wielkie święto artystyczne zgotowała dzisiaj dyrekcja opery w Warszawie. Po raz pierwszy miano sposobność „usłyszeć głos „wielkiej, nieśmiertelnej, wspaniałej Goldoni“ — jak pisała prasa — śpiewaczki, poprzedzonej stugębną falą wszechświatowego rozgłosu, świetnością wspaniałych sukcesów, zdobytych na wszystkich europejskich i amerykańskich scenach. Nic dziwnego, że gościnny jej występ w popisowej partii Carmeny ściągnął, mimo szalonych cen wstępu, najszerze sfery kulturalne Warszawy. Ale można rzecz śmiało, że aczkolwiek przygotowano się na chwilę nieprzeciętnych wzruszeń, to przecież akt pierwszy, który się zakończył przed chwilą, był rewelacją dla wszystkich. Niezrównana artystka szlachetnym metalem głosu, mieniącym się skalą najsubtelniejszych odcieni, ognistym temperamentem włoskim, którym potrafiła rozpalić swą rolę, wreszcie swoją urodą i wdziękiem oczarowała i porwała słuchaczy.

I oto teraz stoi w półcieniu lekko rozchylonej kurtyny, zarzucona kwieciami, śliczna w swym hiszpańskim stroju, śląc w ciemności sali dziękczynne uśmiechy, wdziękiem ukłonów darząc wielbicieli..

— Goldoni!... Goldoni!... — entuzjazmuje się sala.

Rozbłyskają światła... Niknie za kurtyną zjawia... Szeroką falą prze publiczność ku krużgankom, bufetom, fumoim. Nie milkną ani na chwilę na temat artystki rozmowy... Oczy szukają znajomych. Wieszają się na bardziej znanych w stolicy postaciach. Padają nazwiska, rzucane półszepceniem od ucha do ucha. Krzyżują się spostrzeżenia, komentarze, dewocypy.

— Podobno Prezydent ma przybyć w ciągu drugiego aktu — rzuca ktoś uwagę...

Wszystkie lornetki kierują się mimowoli ku łóżom. Łoża Prezydenta pusta... Natomiast balkon pierwszego piętra przepełniony szeregiem wybitnych osób z politycznego świata.

— Kim jest ten przystojny młodzieniec, który w tej chwili rozmawia z żoną francuskiego posła? — rzuca ku grupce dziennikarzy pytanie jedna z pań, lornetując zapalczywie łóż.

— To p. Carlo Spinelli, sekretarz poselstwa włoskiego — odpowiada ktoś z zapytanych.

— Wydaje się być czegoś wzruszony i zdenerwowany...

— Jego towarzyska ściska mu dłoń, jakby z jakimś serdecznym życzeniem czy powinszowaniem.

— Jakto, nie wiecie państwo — wmieszał się ktoś do rozmowy — że Spinelli jest narzeczonym bohaterki dzisiejszego wieczoru, narzeczonym Blanki Goldoni?...

W tej chwili ten, o którym mówiono, przeprosił towarzystwo, w którym się znajdował i opuściwszy łóż, skierował się w stronę kulis. Po chwili pukał już do drzwi garderoby artystki. Zmarszczył niespokojnie brew, gdy mu milczenie było odpowiedzią. Zapukał raz jeszcze i nie czekając dłużej na echo, które odezwać się nie chciało, otworzył z pośpiechem drzwi, wchodząc do środka pokoju.

— Ach, to ty, Carlo! — westchnęła z ulgą artystka.

Popatrzał z niepokojem na nią. Stała w kącie pokoju, wtłoczona weń jakby w śmiertelnym przestachu przed widmem, które jej się miało objawić. Jej śliczna twarz zamarła w bladej masce niesamowitej i niewytłumaczalnej grozy. Piękne, czarne a ożywione zwykle jej oczy ślizgały się martwo po twarzy narzeczonego — mógłby powiedzieć ktoś, że nie bardzo zdawała sobie z jego obecności sprawę. W ciężkim jej i nerwowym oddechu

czaiło się jakieś głębokie wzruszenie, targające wszystkimi fibrami jej duszy.

— Co ci jest Blanko! na Boga?! — rzucił się ku niej. Otoczył ją czułym ramieniem i przemocą niemal uprowadził na fotel. Położyła mu ręce na skronie. Wparła się w niego niezdrowo błyszczącymi oczyma.

— Zapomniałeś, Carlo? — szeptała gorączkowo, bezładnie, nerwowo. — *Dwadzieścia sześć razy tylko oglądać będziecie nową i pełną księżycą...* Wczoraj się dokonała godzina. Zapomniałeś Carlo?... *Nie ma celu żyć na świecie ten, kto zrozumiał istotę miłości i kto osiągnął granice poznania...* Zapomniałeś Carlo?... Ale *On* jest Wszechmocny, Wszechpotężny i czuwa... *On, Karzący Miecz w ręku Ducha Mściciela...*

Wzdrygnął się nieznacznie Spinelli. Ukryta troska zmarszczkami mu pofałdowała czoło. W przygasłych na chwilę oczach ujawniło się ukrywane znużenie czy zniecierpliwienie.

— Zerwij wreszcie z temi niezdrowymi myślami — mówił łagodnie do niej, gładząc ją zlekka po włosach, jak dziecko, które się chce uspokoić.

— Niewolnicą własnej wyobraźni jesteś, podsycając chorobliwymi wizjami. Zapomnij o tem, co było, co minęło i co już nie wróci. *Jego* szarlatkańska sztuka nie sięga tutaj, w ośrodek cywilizowanego świata. Znasz *Jego* punktualność wzorową... Przyznaję, że dnia wczorajszego oczekiwałem z pewnym niepokojem... Dziś nie mam już żadnych obaw... Gdyby się miało stać jego prorocztwom zadość, jużby się stało... Tymczasem nikt z nas nie błądzi po gwiazdach w swoim „astralnym“ wcieleniu. *Rewolucjonści z „astralnego planu“* — ciągnął już dalej z uśmiechem — *naprawdę oczekują sił kursu z naszej planety...* Sądzę, że Van Gelle ze swoją głową, pełną wynalazczych planów przdałby się w ich „armji“ niemało... Ale on kończy tymczasem swe dzieło o „Zagadce Indyjskiego Yogi“, z myślą o nagrodzie Nobla i zgola nie zdradza chęci pakowania kufrów na tę odległą bądź co bądź od Stockholmu wyprawę... Ja osobiście też dłuższych podróży nie lubię i nie mam chwilowo zamiaru żegnać się z Warszawą...

Blanka w miarę jego perswazji rozpogadzała z wolna oblicze. Jego beztroski, napół ironiczny i wesoły ton, z jakim roztrząsał tę sprawę, tak głęboko zaszczepiając się o losy ich życia i jej się powoli udzielił... Uśmiechnęła się:

— Ciekawam, jaką funkcję mnie powierzono by w tem tajemniczym społeczeństwie „astrali“... Czyżby kazano mnie rewolucyjne hufy bohaterską pieśnią podniecać do boju?

— Raczejby zlecono ci — żartował dalej Spinelli, zadowolony, że udało mu się rozproszyć ponure nastroje — sformować huf Amazonek „astralnych“ i na ich czele walczyć o przyszłość zagrobowego życia.

— Amazonek? — parsknęła śmiechem artystka — w „astralnych“ pancerzach i na „astralnych“ rumakach?! W dwudziestym wieku łatwiej przemawia do wyobraźni pojęcie: „astralna bomba“ czy „astralny karabin“... Nie wodzem Amazonek mnie mianuj, lecz generałem Legji Kobiecej, zmobilizowanej z eterycznych cieni...

Jęklawy głos dzwonka przerwał tę dziwną dla niewtajemniczonych rozmowę...

— Pa! Carlo, do następnej pauzy — zęgnęła towarzysza artystka, pospiesznie poprawiając przed lustrem fryzurę...

— Pańska narzeczona zbiera dziś niebywałe laury — banalnym komplementem powitała jedna z pań dyplomatę u wejścia do łóży...

— Blanka już nie jest moją narzeczoną — odpowiedział z trochę sztucznym uśmiechem Spinelli. — Niech pani nie robi tak zdziwionej miny... Tak, byłem ongiś zaręczony z panną Goldoni... Przed kilku miesiącami wszakże zwróciłem jej słowo... Zapyta pani zapewne: Dlaczego tailem się z tem do tej pory?...

W tej chwili pierwsze dźwięki orkiestry przecięły dalszą rozmowę... Zamarła znów w milczeniu sala... Poddano się wszechwładnie czarowi namiętnej, zmysłowej muzyki Bizeta. Nigdy nie przeżywano tak gorąco miłosnych udręk Don Josego, jak dziś, gdy Carmen wcieliła się w postać Goldoni. W nią wlepione były wszystkie oczy. Wprost z ust chwytało jej każdy dźwięk głosu...

Oto duet Carmeny z Don Josem... Gorący żar krwi południowej drży w wabiących słowach i gestach Carmeny... Nieprzeparta żądza miłości i władzy, pustota zmysłów, wyzwolonych z pięć jakiegokolwiek nakazu, rozkazująca namiętność, błagalna prośba, okrucieństwo, litość, szczerłość odruchów serca, ich wyrachowanie — akcenty tych wszystkich przemieszanych z sobą i skłębionych uczuć pulsują w głosie Goldoni, mienią się czerwienią krwi, błyskają płomieniami ognia... Napiecie uczu-

ciowe słuchaczy błąka się niemal na granicy miśtycznych rozkoszy...

Nagle wypadek nieoczekiwany, nagły, niespodziany, wyrwał salę z ekstazy letargu i jak maczugą uderzył w naprężone nerwy słuchaczy... Prerażonym wzrokiem wodzą oni po sobie i po zasuniętej kurtynie... Przymykają oczy pod blaskiem nagle rozjaśnionych światła. Głęboka cisza, jaka nastąpiła wraz z nagłym zniknięciem orkiestry, przykro uderza o uszy. Nikt nic nie rozumie nieledwie z tego co się stało. Wypadki zaszły prędzej, nim nadszedłoby ich uświadomienie. Jeszcze wszyscy widzą artystkę, jak nagle blednie i urywając partję w pół słowa, patrzy w stronę łóż parterowych szeroko rozwartemi, pociemniałemi jakby nagle oczyma i slaniając się pada potem z wolna, bez słowa, przez ramiona swego partnera... Potem, gdzieś z głębi sceny rozdziera nagle spłoszone dźwięki orkiestry nerwowy, spazmatyczny okrzyk: „kurtyna!“...

I oto siedzą wszyscy odrętwiali, milczący, niemal swoich zmysłów niepewni, odważając się za ledwie półszepceniem rzucić jakąś ku sąsiadom uwagę. W piersiach obecnych rozsiadła się jakaś niejasna świadomość tragedji, która się dokonała oto przed ich oczyma na scenie, jakieś przecucie grozy, którą los musi im jeszcze objawić... I wszyscy już jakby wiedzą, co powie ów czarny pan, wychylający się jak zwiastun nieszczęścia z skłębionych fałdów kurtyny... Kilka banalnych słów, przerywanych zupełnie szczerem wzruszeniem, o potężnej stracie, jaka dotknęła Sztukę, o ciosie, jakim będzie ta wiadomość dla całego świata, o żałobie, jaka spowinie polską scenę, która stała się trumną dla wielkiej artystki, miast być dla niej nowym triumfalnym Łukiem... O tragedji losu, który w najpiękniejszym wieku przeciął nic młodego, tak cennego dla ludzkości życia... Powody śmierci? O temjeszcze zadecydują lekarze... Prawdopodobnie atak apopleksji, niewytrzymałość serca, które brało w siebie całą wielkość przeżywaną przez swoich bohaterów uczuć...

Raz wraz skrzypiały cicho drzwi, prowadzące do garderoby artystki... Coraz ktoś nowy z przyjaciół zmarłej wsuwał się na palcach, by głośniejszym szmerem nie zmącić majestatu śmierci. Ścisano dłoń Spinellemu, szepcząc wyrazy współcia. Ten stał w kącie pokoju, wsparty o ścianę plecyma, nieruchomy, bladej, jakby nie widząc osób otaczających go wkoło, jakby nie słysząc, co mówiono do niego. Automatycznie odpowiadał na uściski ręki. Wzrok jego nerwowy, niespokojny, męiny, biegł w kierunku sof, na której leżała zmarła i zatrzymał się na plecach lekarza, pochylonego wciąż nad zwłokami i zagłębionego w kontemplacji, mogącej dać dużo do myślenia wnikliwemu obserwatorowi tej sceny.

W tej chwili lekarz zwrócił się do dyrektora opery, stojącego opodal i szepnął mu coś do ucha.

— Muszę przeprosić państwa — rzekł ten ostatni, zwracając się do obecnych, nerwowym, podnieconym głosem, który niemile zmącił atmosferę żałobnego nastroju.

— Muszę przeprosić i wezwać do opuszczenia pokoju. Lekarz nie ukończył jeszcze swych zadań. Pan oczywiście może zostać — rzekł, zwracając się do Spinello.

W oczach dyplomaty zabłyśły nagle dziwne, nerwowe ogniki i zgasły w tej samej chwili.

Po chwili, gdy z niepowołanych świadków opróżnił się pokój, lekarz przykląsży, rozpoczął dokładne oględziny zwłoków.

— Krew! — syknął po pewnym czasie. Istotnie z niewielkiej ranki na plecach artystki sączyła się cieniutka nitka krwi, barwiąc przejrzystą bieliznę szkarłatem.

— Zdraśnięcie, spowodowane upadkiem! — mruknął dyrektor, przysuwając się bliżej.

Doktor nie odpowiedział. Nachylony nad trupem, wpatrywał się uważnie w zranione miejsce na plecach, obwiedzione siną obwódka, a tak nikt, że gdyby nie krew, dość obficie spływająca, szczególnie pod naciskiem palców, mogłoby ująć przy powierzchownem badaniu uwadze. Po dłuższej chwili wstał, zwracając się do dyrektora. Głębokie wzruszenie malowało się na jego twarzy.

— Stoimy w obliczu zbrodni — mówił siląc się na spokój i z trudem dobierając wyrazów — powiedziałem zbrodni... Artystkę zamordowano strzałem w plecy... Nie, nie zwariowałem, drogi panie. Wiem dobrze, co mówię... Zarzeczono strzałem w plecy, z rewolweru miniaturowego kalibru...

— Szaleństwo! — zachnął się dyrektor, trzepocząc nerwowo rękoma. — Szaleństwo! Nie zechcesz pan przecież w nas wmawiać, żeśmy wszyscy pogłuchli i dlatego nie słyszeli strzału!... Nie zechcesz w nas wmawiać, że istnieją bezszelestne kule!... Ośmieszasz się, drogi doktorze...

Ciąg dalszy nastąpi.